

4. WIZJE

Wróciłem do szkoły. To było najwłaściwsze rozwiązanie. Nie powinienem wzbudzać podejrzeń.

Pod koniec dnia prawie wszyscy uczniowie wrócili do klas. Tylko Tyler, Bella i kilku innych – którzy prawdopodobnie skorzystali z wypadku jako pretekstu do wagarów – pozostało nieobecnych.

Nie powinno być dla mnie taką trudną rzeczą zachowanie się właściwie. Ale przez całe popołudnie zaciskałem zęby powstrzymując pragnienie. Marzyłem by urwać się z lekcji, by znowu ją zobaczyć.

Jak jakiś natręt. Obsesyjny natręt. Obsesyjny wampir natręt .

Szkoła była dzisiaj, jakimś cudem, niemożliwie, bardziej nudna niż wydawało się to tylko tydzień temu. Jak śpiączka. Było tak jak by kolor odpłynął z cegieł, drzew, nieba, z twarzy dookoła mnie... Gapilem się na rysę na ścianie.

Była inna właściwa rzecz która powinienem robić... i której nie robiłem. Oczywiście, to była następna niewłaściwa rzecz. Wszystko zależało od perspektywy z której się spojrzało.

Z perspektywy Cullena – nie tylko wampira, ale *Cullena*, kogoś kto należał do rodziny, taki rzadki stan w naszym świecie – właściwą rzeczą do zrobienia było by coś takiego:

- Jestem zdziwiony widząc Cię w mojej klasie, Edwardzie. Słyszałem, że byłeś zamieszany w ten okropny incydent dziś rano.

- Tak, byłem Proszę Pana, ale miałem szczęście. - Przyjazny uśmiech - Wcale nie zostałem ranny... Chciałbym móc powiedzieć to samo o Belli i Tylerze.

- Jak się oni mają?

- Myślę, że Tyler ma się dobrze... Tylko jakieś powierzchowne zadrapania od szkła z okien. Jednak nie jestem pewien co do Belli. - Zmartwiony grymas. - Może mieć jakąś kontuzję. Słyszałem, że była zupełnie bezwładna przez dłuższą chwilę – widziała nawet jakieś rzeczy. Wiem, że doktorzy byli zmartwieni...

Tak to powinno wyglądać. To byłem winny mojej rodzinie.

- Jestem zdziwiony widząc Cię w mojej klasie, Edwardzie. Słyszałem, że byłeś zamieszany w ten okropny incydent dziś rano.

- Nic mi się nie stało. - Żadnego uśmiechu.

Mr. Banner przerzucił swoją wagę z jednej stopy na drugą, czując się nieswojo.

- Masz jakieś pojęcie w jakim stanie są Bella Swan i Tyler Crowley? Słyszałem, że mieli jakieś obrażenia...

- Nie znam ich stanu. - Wzruszyłem ramionami.

Mr. Banner odchrząknął.

- Taa, racja... - powiedział; moje zimne spojrzenie sprawiło, że jego głos był trochę spięty..

Odszedł szybko na przód klasy i zaczął swój wykład.

To było niewłaściwą rzeczą do zrobienia. Chyba, że spojrzano się na to z bardziej niezrozumiałego punktu widzenia.

Wydawało się po prostu to tak... tak *obraźliwie nieuprzejme* oczerniać dziewczynę za jej plecami, zwłaszcza kiedy ona udowodniła, że była bardziej godna zaufania niż mógłbym marzyć. Nie powiedziała niczego co mogło by mnie zdradzić, mimo tego, że miała dobry powód żeby to zrobić. Czy mógłbym ją zdradzić kiedy ona zrobiła wszystko żeby utrzymać mój sekret?

Miałem prawie identyczną rozmowę z Panią Goff – tylko raczej po hiszpańsku niż po angielsku – i Emmett posłał mi długie spojrzenie.

Mam nadzieję, że masz dobre wyjaśnienie na to co się dzisiaj stało. Rose jest na ścieżce wojennej.

Przewróciłem oczami bez patrzenia na niego.

Właściwie wymyśliłem perfekcyjnie brzmiące wyjaśnienie. Przypuszczając, że *nie zrobiłbym* wszystkiego żeby powstrzymać vana od zmiążdżenia dziewczyny...

Wzdrygnąłem się na myśl o tym. Ale jeśli została by uderzona, jeśli została by zmasakrowana i krwawiła by, czerwony płyn rozlał by się na betonie, zapach świeżej krwi rozplywający się w powietrzu...

Zadrzałem ponownie, ale nie tylko ze strachu. Część mnie zadrzała w pożądaniu. Nie, nie byłbym w stanie patrzeć na jej krew bez ujawnienia nas w bardziej rażący i szokujący sposób.

To była perfekcyjnie brzmiąca wymówka... ale nie użył bym jej. Wydawała się być, zbyt zawstydzająca..

Zważywszy na to, że pomyślałem o tym długo po zdarzeniu.

Spójrz na Jaspera. Emmett wciął się nieświadomy mojej zadumy. *Nie jest na Ciebie zły... jest bardziej zdecydowany.*

Zobaczyłem co miał na myśli i na chwilę pokój dookoła mnie się rozmył. Moja wściekłość była tak wszechogarniająca, że czerwona mgła przesłoniła mi pole widzenia. Myślałem, że się nią zadławię.

CIII, EDWARD! WEŹ SIĘ W GARŚĆ!! Emmett wrzasnął na mnie w swojej głowie. Jego ręka spoczęła na moim ramieniu, trzymając mnie, bym nie wstał na równe nogi. Rzadko używał aż tyle siły – rzadko była taka potrzeba, był o wiele silniejszy niż jakikolwiek wampir którego kiedykolwiek spotkaliśmy – ale użył jej teraz. Ścisnął moje ramie, zamiast popchnąć mnie w dół. Jeśli by pchał, krzesło pode mną z pewnością by się zapadło.

SPOKOJNIE! Zarządził.

Spróbowałem się uspokoić, ale było mi ciężko. Wściekłość płonęła w mojej w głowie.

Jasper nic nie robi do czasu aż wszyscy porozmawiamy. Po prostu pomyślałem, że powinienś wiedzieć w jakim kierunku będzie podążał.

Skoncentrowałem się na uspokojeniu się i poczułem, jak ręka Emmetta się rozluźnia.

Postaraj się nie zrobić większego przedstawienia. Masz wystarczająco dużo kłopotów.

Wzięłem głęboki oddech i Emmett uwolnił mnie z uścisku..

Dla pewności przesłuchałem klasę wzrokiem, ale nasza konfrontacja była tak cicha i tak krótka, że tylko parę osób siedzących za Emmettem coś zauważyło. Nikt z nich nie wiedział co z tym zrobić i wzruszyli tylko ramionami. Cullenowie byli dziwakami – wszyscy już o tym wiedzieli.

Cholera, dzieciaku, ale jesteś niezrównoważony.

Emmett dodał z sympatią w głosie.

-Ugryź mnie.- Wymamrotałem cicho i usłyszałem jego niski chichot.

Emmett nie żywił do mnie urazy, i to ja powinienem być bardziej wdzięczny za jego wyrozumiałość. Ale mogłem zobaczyć, że intencje Jaspera brzmiały tak sensownie dla niego, że rozważał czy to nie był by najlepsze rozwiązanie.

Wściekłość zawrzała, z trudem kontrolowana.

Tak, Emmett był silniejszy ode mnie, ale jeszcze nigdy mnie nie poturbował. Twierdził, że to dlatego, że oszukiwałem, ale słyszenie myśli było tak nieodłączną częścią mnie, tak jak jego ogromna siła była jego atrybutem. Mieliśmy równe szanse w walce.

Walka? To do tego to prowadziło? Miałem zamiar walczyć z *własną rodziną* dla człowieka którego ledwo znałem?

Pomyślałem o tym przez chwilę, o delikatnym ciele dziewczyny w moich ramionach w zestawieniu z Jasperem, Rose i Emmettem – nadprzyrodzeni silni i szybcy, maszyny do zabijania stworzone przez naturę...

Tak, walczył bym dla niej. Przeciwko mojej rodzinie.

Zadrzałem.

Bo to nie było w porządku pozostawić ją bezbronną, kiedy to ja byłem tym który naraził ją na niebezpieczeństwo.

Nie mógłbym wygrać sam, nie przeciwko całej trójce i zastanawiałem się kto mógłby być moim sprzymierzeńcem.

Carlisle, na pewno. Nie walczył by z nikim, ale był by całkowicie przeciwko pomysłowi Jaspera i Rose. To może być wszystko czego potrzebowalbym. Zobaczę...

Esme, wątpliwie. Nie stanęła by przeciwko mnie także, nie zniosła by też nie zgadzania się z Carlislem, ale poparła by każdy plan który trzymał by jej rodzinę razem. Jeśli Carlisle był duszą rodziny, to Esme była jej sercem. On dawał nam przywódcę który był wart naśladowania; ona sprawiła to naśladowanie aktem miłości. Wszyscy się kochaliśmy - nawet teraz pod powierzchnią furii którą czułem do Jaspera i Rose, nawet kiedy planowałem walczyć z nimi żeby ocalić dziewczynę, wiedziałem, że ich kocham.

Alice... nie miałem pojęcia. To prawdopodobnie zależało od tego co będzie widziała,

że nastąpi. Wyobrażam sobie, że wybierze stronę zwycięscy.

Więc musiałbym to zrobić bez niczyjej pomocy. Nie mogłem się równać z nimi wszystkimi, ale nie zamierzałem pozwolić im skrzywdzić dziewczyny z mojego powodu. To może oznaczać manewr odejścia...

Moja wściekłość opadła nagle w przypiływie wściekłego poczucia humoru. Mogłem sobie wyobrazić jak dziewczyna by zareagowała kiedy bym ją porwał. Oczywiście rzadko poprawnie zgadywałem jej reakcje - ale jaką inną mogła by mieć reakcję oprócz czystego przerażenia?

Nie byłem też pewien jak to rozwiązać – porwanie jej. Nie był bym w stanie wytrzymać blisko niej przez dłuższy czas. Możliwe, że dostarczył bym ją po prostu z powrotem do jej matki. Nawet - było by dla niej bardzo niebezpieczne.

I także dla mnie, uświadomiłem sobie nagle. Jeśli zabił bym ją przez przypadek... Nie byłem całkowicie pewien ile by to bólu by mnie kosztowało, ale wiedziałem, że był by on złożony i intensywny.

Cóż, nie mogłem już więcej narzekać, że życie *poza* szkołą było monotonne. Dziewczyna zmieniła to tak bardzo.

Kiedy zadzwonił dzwonek Emmett i ja poszliśmy w ciszy w stronę auta. Martwił się o mnie i martwił się o Rosalie. Wiedział którą stronę musiałby wybrać w razie konfliktu i to go niepokoiło.

Reszta czekała na nas w aucie, także pogrążona w ciszy. Byliśmy bardzo cichą grupą. Tylko ja mogłem słyszeć krzyki.

Idiota! Szaleniec! Kretyn! Dupek! Samolubny, nieodpowiedzialny głupek!

Rosalie utrzymywała stały potok obelg z całą siłą swoich mentalnych płuc. Sprawiało to, że było trudno wsłuchiwać się w innych, ale ignorowałem ją najlepiej jak umiałem.

Emmett miał rację co do Jaspera. Był pewien swojego planu.

Alice była niespokojna, martwiła się o Jaspera, przesuwając obrazki przyszłości. Nie ważne z której strony Jasper podchodził do dziewczyny, Alice zawsze mnie tam widziała, blokującego go. Interesujące... ani Rosalie ani Emmett nie byli z nim w tych wizjach. Więc Jasper planował to zrobić sam. To by wszystko uprościło.

Jasper był najlepszym, najbardziej doświadczonym wojownikiem z nas wszystkich; moja jedyna przewaga była taka, że mogłem usłyszeć jego ruchy zanim je wykonał.

Nigdy nie walczyłem z Emmettem czy Jasperem bardziej niż dla zabawy- po prostu obijaliśmy się z nudów. Zrobiło mi się niedobrze na myśl o spróbowaniu zranienia Jaspera tak naprawdę...

Nie, nie o to chodziło. Tylko go zablokować. To wszystko.

Skupiłem się na Alice, przypominającej sobie różne sposoby ataków Jaspera.

Jak tylko to zrobiłem, jej wizja się przesunęła, idąc dalej i dalej do domu Swanów.

Wyeliminowałem go wcześniej...

Powstrzymaj to, Edwardzie! Tak się nie może stać. Nie dopuszczę do tego.

Nie odpowiedziałem jej, po prostu patrzyłem dalej.

Zaczęła dalej szukać, w zamglonej rzeczywistości odległych jeszcze możliwości. Wszystko było cieniste i mgliste.

Przez całą drogę do domu ładunek ciszy nie opadł. Zaparkowałem w dużym garażu za domem; Mercedes Carlisle'a już tam był, tak jak duży jeep Emmetta, M3 Rose i mój Vanquish. Byłem zadowolony, że Carlisle jest już w domu – ta cisza zakończy się eksplozją i chciałem by był przy tym, kiedy to się stanie.

Poszliśmy prosto do jadalni.

Pokój był oczywiście nigdy używany we właściwych celach. Ale był urządzony długim, owalnym, mahoniowym stołem otoczonym krzesłami – byliśmy skrupulatni w trzymaniu wszystkich rekwizytów we właściwym miejscu. Carlisle lubił używać tego jako pokoju konferencyjnego. W grupie gdzie było tyle silnych i skrajnie różnych osobowości, czasami było konieczne żeby prowadzić dyskusje w sposób spokojny, na siedząco.

Miałem przeczucie, że posadzenie wszystkich na krzesłach niewiele dzisiaj pomoże.

Carlisle siedział na swoim zwykłym miejscu, na wschodnim krańcu stołu. Esme była obok niego – trzymali się za ręce.

Oczy Esme wpatrywały się we mnie, złote głębie i pełne troski.

Zostań. To była jej jedyna myśl.

Chciałbym być w stanie uśmiechnąć się do tej, która była dla mnie prawdziwą matką, ale nie miałem dla niej żadnej otuchy.

Usiadłem po drugiej stronie Carlisle'a. Esme sięgnęła przez niego żeby położyć wolną rękę na moim ramieniu. Nie miała pojęcia co miało się zacząć, tylko martwiła się o mnie.

Carlisle miał lepsze pojęcie o tym, co nadchodziło. Jego usta były zaciśnięte, a czoło zmarszczone. Grymas wyglądał za staro na jego młodej twarzy.

Kiedy wszyscy usiedli, widziałem, że linie zostały narysowane.

Rosalie usiadła dokładnie naprzeciwko Carlisle'a, na drugim końcu długiego stołu. Rzuciła mi pełne złości spojrzenia, nigdy nie odwracając wzroku.

Emmett usiadł obok niej, jego myśli i twarz były skrzywione.

Jasper się zawahał i poszedł stanąć przy ścianie dokładnie naprzeciwko Rosalie. Był zdecydowany, obojętny na przebieg tej dyskusji. Zaciśnąłem zęby.

Alice weszła ostatnia, jej oczy były skupione na czymś dalekim – przyszłości, wciąż zbyt niepewnej by mogła zrobić z niej użytek. Bez większego namysłu usiadła obok Esme. Pocierała czoło jak by dręczył ją ból głowy. Jasper drgnął niespokojnie, rozważył dołączenie do niej, ale pozostał na miejscu.

Wzięłem głęboki oddech. Ja to zacząłem – powinienem przemówić jako pierwszy.

- Przepraszam. – powiedziałem spoglądając najpierw na Rose, potem na Jaspiera a w końcu na Emmetta. – Nie chciałem wystawiać żadnego z was na niebezpieczeństwo. To było bezmyślne i chcę wziąć pełną odpowiedzialność za mój pochopny czyn.

Rosalie spojrzała na mnie złowrogo.

- Co masz na myśli przez „wziąć pełną odpowiedzialność”? Masz zamiar to

naprawić?

- Nie w sposób który masz na myśli. – powiedziałem starając utrzymać mój głos pewnie i spokojnie – Jestem skłonny odejść już teraz, jeśli to tylko poprawi naszą sytuację. – *Jeśli uwierzą, że ta dziewczyna będzie bezpieczna, jeśli uwierzę, że żadne z was jej nie tknie*, poprawiłem się w myślach.

- Nie – Esme wyszeptała – Nie, Edwardzie.

Pogłaskałem jej rękę.

- To tylko parę lat.

- Jednak Esme ma rację. – powiedział Emmett – Nie możesz teraz nigdzie wyjechać. To w niczym by nie pomogło, wręcz przeciwnie. Musimy wiedzieć co ludzie dookoła nas myślą, teraz bardziej niż kiedykolwiek.

Nie zgodziłem się z nim.

- Alice wyłapie wszystko co będzie miało dla nas jakieś kluczowe znaczenie.

Carlisle pokręcił głową.

- Myślę, że Emmett ma rację, Edwardzie. Dziewczyna będzie o wiele bardziej rozmowna, jeśli nagle znikniesz. Albo odchodzimy wszyscy albo nikt.

- Ona nic nie powie. – szybko odparłem. Rose zbliżała się do eksplozji i chciałem żeby ten fakt wyszedł szybko na jaw.

- Nie znasz jej umysłu. – przypomniał mi Carlisle.

- Wiem tylko, że nic nie powie. Alice, wesprzyj mnie.

Alice spojrzała na mnie ze znużeniem.

- Nie widzę, że stało by się coś złego, jeśli po prostu to zignorujemy.

Rzuciła szybkie spojrzenie na Jaspiera i Rose.

Nie, nie mogła zobaczyć tej wersji przyszłości – nie kiedy Rosalie i Jasper byli aż tak przeciwko jej nie ignorowaniu.

Dłoń Rosalie uderzyła w stół z głośnym hukiem.

- Nie możemy dopuścić, żeby ten człowiek miał szanse powiedzieć cokolwiek. Carlisle, *musisz* to zrozumieć. Nawet jeśli zdecydujemy, że wszyscy znikamy, nie jest to bezpieczne pozostawić za sobą takiej historii. Żyjemy tak odmiennie od reszty naszego gatunku – wiecie, że są tacy którzy z przyjemnością podciągnęli by nas pod odpowiedzialność. Musimy być ostrożniejsi niż ktokolwiek inny!

- Zostawialiśmy już za sobą plotki.– przypomniałem jej.

- Tylko plotki i podejrzenia, Edwardzie. Nie świadków i dowody!

- Dowody! – zaszydziłem.

Jasper już potakiwał, z twardym wyrazem oczu.

- Rose... - Carlisle zaczął.

- Daj mi skończyć, Carlisle. To nie musi być żadne wielkie wydarzenie. Dziewczyna uderzyła się dzisiaj w głowę. Więc może ta kontuzja okazać się większa niż się wydawało. – Rosalie wzruszyła ramionami – Każdy śmiertelnik kładzie się spać z

szansą, że się więcej nie obudzi. Inni oczekiwali by, że posprzątam po sobie. Technicznie rzecz biorąc to było by zadanie Edwarda, ale rzecz jasna to leży poza jego możliwościami. Wiesz, że jestem zdolna do samokontroli. Nie zostawiłabym za nami żadnego śladu.

- Tak, Rosalie, wszyscy wiemy jak zdolną jesteś zabójcą. – warknąłem.

Zasyczała na mnie z furją.

- Edward, proszę. – powiedział Carlisle i zwrócił się do Rosalie – Rosalie, miałem do tego inny stosunek w Rochester, ponieważ czułem, że należy Ci się sprawiedliwość. Mężczyzna którego zabiłaś potraktował Cię jak potwora. To nie jest ta sama sytuacja. Panna Swan jest niewinna.

- To nie jest nic osobistego, Carlisle. – Rosalie ledwo wycedziła te słowa przez zęby – To po to by chronić nas wszystkich.

Zapadła krótkotrwała cisza kiedy Carlisle obmyślał swoją odpowiedź. Kiedy skinął głową, oczy Rosalie się roz błysnęły. Powinna wiedzieć lepiej. Nawet jeśli nie był bym w stanie przeczytać jego myśli, mogłem przewidzieć jego następne słowa.

- Wiem, że chcesz dobrze Rosalie, ale... chciałbym bardzo, żeby nasza rodzina była warta tego, żeby ją bronić. Przypadkowy... wypadek lub chwila nieuwagi w kontrolowaniu się jest przykrą częścią tego kim jesteśmy. – To było bardzo w jego stylu użyć liczby mnogiej, chociaż on nigdy nie miał takiej chwili nieuwagi. – Zamordowanie niewinnego dziecka z zimną krwią to zupełnie inna rzecz. Wierzę, że ryzyko które ona ze sobą niesie, czy powie o swoich podejrzeniach czy nie, jest niczym w porównaniu z większym ryzykiem. Jeśli poczynimy wyjątki żeby chronić siebie samych, ryzykujemy coś znacznie ważniejszego. Ryzykujemy stracenie istoty tego kim jesteśmy.

Staralem się bardzo kontrolować mój wyraz twarzy. Jeśli bym tego nie robił to uśmiechał bym się szeroko. Lub bił brawo, tak jak miałem na to ochotę.

- To odpowiedzialne zachowanie. – Rosalie się nachmurzyła.

- Raczej bezduszne. – Carlisle poprawił ją delikatnie – Każde życie jest cenne.

Rosalie westchnęła ciężki i wyduła dolną wargę. Emmett pogłaskał ją po ramieniu.

- Będzie dobrze, Rose. – zapewnił niskim głosem.

- Pytanie brzmi – Carlisle kontynuował – czy powinniśmy się przeprowadzić?

- Nie – Rosalie jęknęła – dopiero co się tutaj zdomowiliśmy. Nie chce zaczynać mojego drugiego roku jeszcze raz!

- Oczywiście moglibyście zachować swój obecny wiek. – powiedział Carlisle.

- I przeprowadzić się o wiele wcześniej? – odparła.

Carlisle wzruszył ramionami.

- Podoba mi się tutaj! Jest tak mało słońca, możemy żyć *jak ludzie*!

- Cóż, oczywiście nie musimy decydować o tym teraz. Możemy poczekać i zobaczyć czy to okaże się konieczne. Edward wydaje się być pewien milczenia tej Swan.

Rosalie prychnęła.

Nie martwiłem się już więcej. Wiedziałem, że zgodzi się z decyzją Carlisle'a, nieważne jak bardzo była na mnie wściekła. Ich rozmowa przeszła na nieważne szczegóły.

Jasper zastygł bez ruchu..

Rozumiałem dlaczego. Zanim on i Alice się poznali, żył na polu bitwy, bezlitosny teatr wojny. Znał konsekwencje nieprzestrzegania zasad – widział makabryczne następstwa na własne oczy.

Wiele mówiło to, że nie próbował uspokoić Rosalie za pomocą swoich specjalnych zdolności, czy spróbować ją podburzyć w tej chwili. Trzymał się z daleka od tej dyskusji – był ponad tym.

- Jasper –powiedziałem.

Napotkał moje spojrzenie, jego twarz pozostała bez wyrazu.

- Ona nie będzie płacić za moje błędy. Nie dopuszczę do tego.

- Więc ma z tego skorzystać? Ona powinna dzisiaj umrzeć, Edwardzie. Dla mnie tylko to rozwiązanie jest słuszne.

Powtórzyłem, akcentując każde słowo.

- Nie dopuszczę do tego.

Jego brwi się podniosły. Nie oczekiwał tego – nie wyobrażał sobie, że będę działał żeby go powstrzymać.

Pokręcił raz głową.

- Nie pozwolę żeby Alice żyła w niebezpieczeństwie, nawet w najmniejszym stopniu. Ty nie czujesz do nikogo tego co ja czuje do niej, Edwardzie, nie przechodziłeś przez to co ja przeszedłem, nieważne czy znasz moje wspomnienia czy nie. Nie rozumiesz tego.

- Nie dyskutuję o tym, Jasper. Ale mówię Ci teraz, że nie pozwolę byś skrzywdził Izabellę Swan.

Patrzeliśmy na siebie – nie przeszywaliśmy się wzrokiem ze złością, tylko ocenialiśmy przeciwnika. Wyczułem, że zaczął sprawdzać nastroje dookoła mnie, sprawdzał moją determinację.

- Jazz – powiedziała Alice, przerywając nam.

Utrzymał wzrok na mnie jeszcze przez chwilę, a potem spojrzał na nią.

- Nie kłopotz się mówieniem mi, że potrafisz o siebie zadbać Alice. Wiem to. Jednak wciąż muszę...

- Nie to, chciałam powiedzieć. – przerwała mu – Miałam zamiar poprosić Cię o przysługę.

Zobaczyłem co ma na myśli i moje usta otworzyły się ze słyszalnym westchnieniem. Gapilem się na nią, zszokowany, ledwie świadomy, że wszyscy oprócz Jaspera i Alice patrzą na mnie przezornie.

- Wiem, że mnie kochasz. Dzięki. Ale była bym naprawdę wdzięczna jeśli nie będziesz próbował zabić Belli. Po pierwsze Edward jest poważny, a ja nie chcę żeby wasza dwójka się biła. Po drugie, ona jest moją przyjaciółką. A przynajmniej nią będzie.

To było czyste jak dzwon w jej głowie: Alice, uśmiechnięta, z jej lodowo białym ramieniem dookoła ciepłych, delikatnych ramion dziewczyny. I Bella też się uśmiechała, jej ramię obejmowało talię Alice.

Wizja była twarda jak skała; tylko czas był niepewny.

- Ale... Alice... - Jasper wydyszał. Nie mogłem się zmusić żeby przesunąć głowę żeby zobaczyć jego twarz. Nie mogłem się oderwać od obrazu w głowie Alice żeby go wysłuchać.

- Pewnego dnia będę ją kochać, Jazz. Będę bardzo wytrącona z równowagi jeśli nie zostawisz jej w spokoju.

Wciąż tkwiłem w myślach Alice. Zobaczyłem przyszłość bardziej jasną, kiedy Jasper brnął przez jej nieoczekiwaną prośbę.

- Ach – westchnęła; jego niezdecydowanie jeszcze rozjaśniło nową przyszłość – Widzisz? Bella nic nikomu nie powie. Nie ma się o co martwić.

Sposób w jaki wypowiedziała imię dziewczyny... jakby już były swoimi bliskimi powierniczkami...

- Alice... - zadławiłem się własnymi słowami – Co... to ma... do rzeczy...?

- Powiedziałam Ci, że nadchodzi jakaś zmiana. Nie wiem Edward.

Zacisnęła szczękę i już wiedziałem, że jest coś jeszcze. Starala się o tym nie myśleć; nagle skupiła się bardzo na Jasperze, chociaż był on zbyt oszołomiony żeby móc podjąć jakąś decyzję.

Robiła to czasami kiedy chciała coś przede mną ukryć.

- Co, Alice? Co ukrywasz?

Usłyszałem stękanie Emmetta. Zawsze był sfrustrowany kiedy ja i Alice prowadziliśmy rozmowy tego typu.

Pokręciła głową, starając się mnie nie dopuścić.

- Czy to jest coś związanego z dziewczyną? – dopytywałem się – Czy to jest coś związanego z Bellą?

Miała zaciśnięte zęby z koncentracji, ale kiedy wypowiedziałem imię dziewczyny, potknęła się. Jej potknięcie trwało tylko najmniejszą część sekundy, ale trwało to wystarczająco długo.

- NIE! – krzyknąłem. Usłyszałem jak moje krzesło upada na podłogę i tylko dzięki temu zorientowałem się, że stoję.

- Edward! – Carlisle był także na nogach; położył rękę na moim ramieniu. Byłem tego ledwie świadomy.

- To się umacnia – wyszeptała Alice – Z każdą minutą jesteś bardziej zdecydowany. Pozostały jej tylko naprawdę dwie drogi. Ta pierwsza lub ta inna, Edwardzie.

Mogłem zobaczyć to co ona widziała... ale nie mogłem zaakceptować tego.

- Nie. – powtórzyłem się; nie było odpowiednio głośnego tonu dla mojego głosu.

Poczułem, że się zapadam w dziurę i musiałem się podeprzeć o stół.

- *Proszę, czy ktoś może powiedzieć nam, co tu się dzieje?* – zajączał Emmett

- Muszę odejść – wyszeptalem do Alice, ignorując go.

- Edward, już przez to przeszliśmy. – powiedział głośno Emmett – To jest najlepszy sposób na sprowokowanie dziewczyny do mówienia. Poza tym, jeśli ty się zwiniesz, to nie będziemy mieli pewności czy ona coś już gada czy nie. Musisz zostać i uporać się z tym.

- Nie widzę żebyś gdziekolwiek się wybierał, Edwardzie. – powiedziała Alice – Nie sądzę żebyś *mógł* gdziekolwiek pojechać. *Pomyśl o tym* dodała cicho. *Pomyśl o odejściu.*

Wiedziałem co ma na myśli. Tak, pomyśl nie zobaczenia się już więcej z dziewczyną był... bolesny. Ale to było konieczne. Nie mogłem popierać przyszłości na którą ją najwyraźniej skazywałem.

Nie jestem zupełnie pewna co do Jaspera, Edwardzie Alice kontynuowała. *Jeśli odejdziesz, on pomyśli, że ona jest zagrożeniem dla nas...*

- Nie chcę tego słuchać – zaprzeczałem jej, tylko w połowie świadomy naszej widowni.

Jasper się wahał. Nie zrobił by czegoś co skrzywdziło by Alice.

Nie w tej chwili. Zaryzykujesz jej życie, pozostawisz bez obrony?

- Dlaczego mi to robisz? – jęknąłem. Złapałem się za głowę.

Nie byłem obrońcą Belli. Nie mogłem. Czy rozdzielna przyszłość którą widziała Alice nie była na to wystarczającym dowodem?

Ja ją też kocham. Albo będę. To nie jest to samo, ale chcę ją mieć przy sobie.

- Też ją kochasz? – wyszeptalem niedowierzająco.

Jesteś tak ślepy Edwardzie. Nie widzisz do czego zmierzasz? Gdzie już się znalazłeś? To jest tak nieuniknione jak to, że słońce wstanie na wschodzie. Zobacz to co ja widzę...

Pokręciłem głową, przerażony.

- Nie. – starałem przestać widzieć to co mi pokazywała w swoich wizjach.

- Nie muszę podążać w tym kierunku. Odejść. Zmienię przyszłość.

-Możesz spróbować. – powiedziała sceptycznie.

- Och, dajcie spokój! – wydarł się Emmett

- Skup się – wyszczała Rosalie – Alice widzi go zakochującego się w *człowieku*! Jak klasycznie Edward!

Wydała z siebie dźwięk jak by się dławiła.

Ledwo ją usłyszałem.

- Co? – Emmett powiedział zaskoczony. Jego dudniący śmiech rozszedł się po pokoju. – Więc o to chodzi? – Zaśmiał się znowu – Mały kłopot, Edward.

Poczułem jego rękę na ramieniu i zrzuciłem ją w roztargnieniu. Nie mogłem zwracać na niego teraz uwagi.

- *Zakochał się w człowieku?* – powtórzyła Esme oszołomiona – W dziewczynie którą

dzisiaj uratował? *Zakochał się* w niej?

- Co widzisz Alice? Konkretnie. – domagał się odpowiedzi Jasper.

Odwróciła się w jego kierunku; wciąż gapilem się martwo na część jej twarzy.

- Wszystko zależy od tego jak będzie silny. Albo zabiję ją własnoręcznie – rzuciła mi szybkie spojrzenie – co *naprawdę* by mnie zirytowało Edward, nie wspominając, jak by to oddziaływało na *Ciebie* – spojrzała znów na Jaspiera – albo ona będzie jedną z nas pewnego dnia.

Ktoś głośno nabrał powietrza; nie spojrzałem na nawet w tamtą stronę.

- To się nie stanie! – znowu zacząłem krzyczeć – Żadne z nich!

Alice nie zdawała się mnie słyszeć.

- Wszystko zależy – powtórzyła – On może zwyczajnie nie być w stanie po prostu jej zabić – Tylko będzie tego bliski. Będzie to kosztowało go ogromną ilość samokontroli...– zadumała się – Więcej nawet niż Carlisle ma. Może będzie wystarczająco silny... Jedyną rzeczą do której nie jest zdolny to trzymanie się z daleka od niej. To już przegrana sprawa.

Nie mogłem odnaleźć swojego głosu. Chyba nikt nie był. Pokój był spokojny.

Gapilem się na Alice, a cała reszta patrzyła na mnie. Mogłem znaleźć odbicie swojej przerażonej twarzy z pięciu różnych punktów widzenia

Po długiej chwili, Carlisle westchnął.

- Cóż, to.. komplikuje sprawy

- Też tak myślę. – zgodził się Emmett. Jego głos był wciąż bliski śmiechu. Można zaufać Emmettowi, że znajdzie coś zabawnego w gruzach mojego życia.

- Myślę, że jednak nasze plany pozostaną bez zmian. – powiedział Carlisle zamyślony – Zostaniemy i będziemy patrzeć na rozwój sytuacji. Oczywiście, nikt... nie skrzywdzi dziewczyny.

Zdrętwiałem.

- Nie- powiedział cicho Jasper – Zgadzam się z tym. Jeśli Alice widzi tylko te dwie możliwości...

- Nie! – Mój głos to nie był krzyk czy jęk czy płacz rozpacz, ale jakaś kombinacja tych trzech czynników – Nie!

Musiałem gdzieś pójść, być daleko od ich głośnych myśli – obłudnego wstrętu do samej siebie Rosalie, rozbawienia Emmetta, niekończącej się cierpliwości Carlisle'a...

Gorzej: pewności siebie Alice. Pewności Jaspiera w jej pewności.

Najgorszego ze wszystkich: *radości* Esme...

Sztywno opuściłem pokój; Esme dotknęła mojego ramienia jak przechodziłem ,ale ja nie odwzajemniłem tego gestu.

Zacząłem biec jeszcze zanim wydostałem się z domu. Przeskoczyłem rzekę jednym skokiem i popędziłem w las. Znowu padało, tak mocno, że po kilku chwilach byłem

zupełnie mokry. Spodobała mi się cienka warstwa wody – tworzyła ścianę pomiędzy mną, a resztą świata. Otaczała mnie, pozwalała mi być samemu.

Biegłem na wschód, poprzez góry, nie przestając podążać wciąż prosto, aż nie zobaczyłem światła Seattle po drugiej stronie cieśniny. Zatrzymałem się zanim dotknąłem krawędzi ludzkiej cywilizacji.

Otoczony przez deszcz, samotnie, w końcu zmusiłem się żeby spojrzeć na to co zrobiłem – na to jak poszarpałem przyszłość.

Po pierwsze – wizja Alice i dziewczyny, obejmujących się ramionami – zaufanie i przyjaźń były tak widoczne w tym obrazie, że aż to krzyczało. Duże oczy Belli były nie zdeorientowane w tej wizji, ale wciąż pełne sekretów - w tej chwili wydawało się, pełne radosnych sekretów. Nie uchylała się przed chłodnym ramieniem Alice.

Co to oznaczało? Ile ona wiedziała? W tym nieruchomym obrazku przyszłości, co ona myślała o *mnie*?

I ten inny obraz, prawie identyczny, ale zabarwiony horrorem. Alice i Bella, wciąż obejmujące się w przyjaźni. Ale nie było różnicy pomiędzy tymi ramionami – oba były białe, gładkie jak marmur, twarde jak stal. Wielkie oczy Belli nie były już czekoladowe. Jej tęczywki były szokująco ostro szkarłatne. Sekrety w nich były niezgłębione – akceptacja czy rozpacz? Było to niemożliwe do stwierdzenia. Jej twarz była zimna i nieśmiertelna.

Zadrzałem. Nie mogłem uciszyć pytań, podobnych, ale jednak różnych: Co to oznaczało – jak to się stało? I co teraz o mnie myślała?

Mogłem odpowiedzieć sobie na to ostatnie. Jeśli zmusiłbym ją do tego pustego półżycia, przez moją słabość i samolubność, było pewne, że mnie by nienawidziła.

Ale był jeszcze jeden przerażający obraz w mojej głowie – najbardziej przerażający ze wszystkich które kiedykolwiek miałem.

Moje własne oczy, mocno szkarłatne dzięki ludzkiej krwi, oczy potwora. Połamane ciało Belli w moich ramionach, popielato białe, puste, bez życia. Było to takie konkretne, takie stałe.

Nie mogłem znieść tego widoku. Nie mogłem. Staralem się to usunąć ze swego umysłu, pomyśleć o czymś innym, czymkolwiek. Spróbować zobaczyć jej żywą twarz która zawsze będzie blokować mój wzrok, aż do ostatniego rozdziału mojej egzystencji. Wszystko bez skutku.

Ponura wizja Alice wypełniła moją głowę i zwinąłem się wewnętrznie z bólu jaki ze sobą przyniosła. Tymczasem potwora we mnie przepelniała radość, triumf na myśl o prawdopodobieństwie jego sukcesu. Wzbudziło to we mnie odrazę.

To się nie mogło stać. Musiał być jakiś sposób żeby przechytrzyć przyszłość. Nie mogłem pozwolić żeby wizja Alice mnie prowadziła. Mogłem wybrać inną ścieżkę. Zawsze jest jakiś inny wybór

Musi być.

